

ZA OKNAMI TRZYSTU WIĘZIEŃ ...

ZASTANAWIAŁEM się nieraz, jakim okolicznościami, jakim szczególnie cechom zawdzięczają „Zbójcy” swą niewygasłą popularność na scenach tylu krajów, w czym tkwi przyczyna, że nawet najmniejsze teatry prowincjonalne, nawet najpośledniejsze trupy aktorskie z takim upodobaniem i uporem sięgały po „Zbójców” i zapamiętały grywały po świetlicach i ogródkach tę tragedię, ociekającą krwią, huczącą jak morze w czas burzy. Brakowało dekoracji i kostiumów? — wystarczały jakieś namiastki. Brakło w zespole wykonawcy roli starego Moora (bo się spił w miejscowej knajpie)? — zastępowała go legendarna „stara Moorowa”. I sztuka szła, zbierała oklaski, budziła entuzjazm.

Fryderyk Schiller miał lat 18, gdy napisał „Zbójców” — swój debiut sceniczny; nie dziwnego, że sztuka roi się od nieprawdopodobieństw, psychologicznych naiwności, zabawnych nieporozumień z logiką. Ale Fryderyk Schiller miał stać się największym po Goethem pisarzem niemieckim i znamiona jego świetnego pióra są równie charakterystyczne dla „Zbójców”, jak ich młodzieńcze niezrównoważenie i niedowarzenie. W tym młodzieńcu genialnie uzdolnionym kłębiły się już w czasie pisania „Zbójców” myśli, namietności i idee na miarę epoki. I żar swój umiał wlać w żyły postaci, którymi zaludnił „Zbójców”. Tym zrywem rewolucyjnym, który jego samego porywał do buntu, umiał natchnąć nieschematycznego bohatera pozytywnego swej sztuki. Dlatego przymykamy oczy na słabości, a poddajemy się sile oddziaływania „Zbójców”. Bywają takie fenomeny w literaturze każdego narodu — pierwsze dramaty Słowackiego są też jakby mieszaniną eliksiru młodości z eliksirem geniuszu.

Schiller był poddanym jednego z okragło trzystu państw, składających się na Rzeszę Niemiecką po rozdrobieniu westfalskim. Państewka były przeważnie groteskowe — prócz niewielu, które rosły, aż jedno z nich połknęło wszystkie — ale nie byli groteskowi ich władcy, miniatury (czy więksi) despoty, w żelaznym rygorze feudalnym trzymający swoje włości dziedziczne. Schiller rósł „pod opieką” wyjątkowo wrednego typu, księcia Karola Eugeniusza Wirtemberskiego, tego samego, który sprzedawał Anglikom swoich chłopów na amerykańską wojnę — doskonałego w swoich przestępstwach przykładu gnicia feudalnego ustroju. Poeta nienawidził swego „miłościwego” dręczyciela, choć ślezczał nad księgami prawniczymi czy też dukał felcerskie mądrości, jak mu „życzliwy opiekun” nakazywał. Toteż nim swą słynną ucieczką zerwał więzy, łączące go z wirtemberskim satrapą, wyzwolił się od nich czynem — uderzeniem „Zbójców” in tyrannos. Karol Moor, pełen szlachectwa duszy młodzieniec, staje na czele bandy wykołajeńców i morderców — by walczyć o wolność, by naprawiać na gorąco krzywdy społeczne, jak je naprawiał angielski zbójca, Robin Hood. Precz z feudalizmem! Niech żyje wolność! precz z klerem, popierającym zmurszały ustrój! Precz z podłymi książętami! Precz!!

Schiller rósł w epoce, w której młodzi pisarze ze szczególną pasją rwali zardzewiałe łańcuchy feudalizmu. Za oknami ich trzystu więzień szykowała się wielka francuska rewolucja burżuazyjna. Poeci żyli w uniesieniu „burzy i naporu” (Sturm — und Drangperiode), „Zbójcy” stali się najwyższym wzniesieniem tej fali. Widz i czytelnik w Niemczech powitali sztukę burzą oklasków, płomiennym odzewem na hasło. Oto była prawdziwie agitacyjna, nabrzmiała aktualnością sztuka, rozpalająca w swoich tyradach i monologach żągie wolności. Kogóż mógł zmylić głupi wybieg cenzury, przerzucający współczesną akcję sztuki w odległą przeszłość historyczną? Przez jeden teatralny wieczór stał się felczer wirtemberski literacką i ideowo-polityczną potęgą w młodzieżowskich Niemczech.

Ale jemu szło o opinię uwielbianego Goethego. Co powie niedościgły mistrz? Goethe — jeszcze neolimpijski, ale już pisarz dojrzały w swoim umiarze, zadomowiony na Parnasie — przeraził się i grzmotu oklasków, i nieumiarkowania sztuki. „Okropność” wyjął zgorszony. Po latach osłabił niechęć, zaprzyjaźnił się — on „Mickiewicz” ze swoim „Słowackim” — i nazwał „Zbójców” dziełem „genialnej młodzieńczej niecierpliwości i żywiołowości”. Ale mierziło go w tej sztuce wiele: przede wszystkim jej gwałtowność, jej kipiąca, zrywająca tamy klasycyzmu pasja.

Schiller powiedział w prologu do „Zbójców”: „Napisałem powieść dramatyczną, a nie dramat teatralny”. Miał tylko częściowo rację. Bo choć to prawda, że książkowy tekst „Zbójców” przelewał się poza ramę, tworzy epicką historię, pełną epizodów i dygresji i dywagacji — już reżyser prapremiery „Zbójców”, Dalberg, umiał z nich wykroić (za zgodą Schillera, o teatralny tekst swoich utworów mało dbałego) potężny, wrzający dramat, trafiający do najszerzego kręgu widzów.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, do odpowiedzi na postawione na wstępie pytanie. Jaka jest główna przyczyna popularności „Zbójców”? Oto ta, że jest to dramat ludowy — w najszlachetniejszym znaczeniu



„Zbójcy” Fryderyka Schillera na scenie Teatru im. Jaracza w Łodzi. Widowisko łódzkie, które reżyserował Czesław Szaławski, jest udanym prologiem do przygotowywanych u nas obecnie uroczystości schillerowskich.

W roli Amalii wystąpiła Olga Bielska. Postać szlachetnego Karola Moora odtwarza Andrzej Szaławski.

Dramatyczna scena z 12 obrazu: Olgierd Jacewicz w roli Spiegelberga i Zbigniew Skowronski — Schweizer.



tego słowa. Dramat, którego ludzie są jasno określili, wykuci z jednej bryły. Dlatego budzą uczucia mocne, porywają lub odpychają, ale nikogo nie zostawiają obojętnym.

„Zbójców” wybrał na jubileuszowe przedstawienie dziesięciolecia swego istnienia zasłużony Teatr im. Jaracza w Łodzi, dawny Teatr Wojska Polskiego, w którym włodarzył Leon Schiller, stwarzając szereg znakomitych przedstawień, w całej Polsce głośniejszych. Obecnym kierownikiem artystycznym teatru jest ceniony artysta Feliks Żukowski — w „Zbójcach” gra „panującego hrabiego” Moora, ojca szlachetnego Karola i niegodziwego Franciszka. Karola stara się Andrzej

Szaławski pokazać tak jak polecał Schiller (autor): by go móc i kochać i nienawidzić, i pogardzać nim i oplakiwać jego nieszczęsną dolę. Wyrutek rodu ludzkiego — czyli Franciszek Moor — jest w słusznej interpretacji Emila Karewicza zbiorem różnych zewnętrznych i wewnętrznych obmierzłości, ale jednak człowiekiem, nie diabłem. Reszta zespołu poprawna w swoich niełatwych zadaniach. Reżyser Czesław Szaławski pewniejszą dłoń prowadzi sceny kameralne niż zbiorowe.

Na maj br. przypada, jak wiadomo, 150 rocznica śmierci autora „Zbójców”. Łódzkie widowisko jest udanym w zasadzie prologiem do przygotowywanych na ten okres obchodów.

J. A. SZCZEPAŃSKI